I.

ROZRYWKI

PRZYJEMNE i POŻYTECZNE.

DZIEŁKO POŚWIĘCONE

LITERATURZE, POEZYI i ROMANSOM

W

XXIV TOMIKACH,

PRZEZ

KONSTANTYNA MAJERANOWSKIEGO.

Utile, dulci.

TOMIK I.

W KRAKOWIE

W DRUKARNI J. MATECKIEGO,

NAKŁADEM WYDAWCY

1826.

ROZRYWKI

PRZYJEMNE i POŻYTECZNE.

DZIEŁKO POŚWIĘCONE

LITERATURZE, POEZYI i ROMANSOM.

Utile, dulci.

PRZEZ

KONSTANTYNA MAJERANOWSKIEGO.

TOMIK I.

W KRAKOWIE,

W DRUKARNI JOZEFA MATECKIEGO.

NAKŁADEM WYDAWCY.

1826.

ZA POZWOLENIEM ZWIERZCHNOŚCI.

DOSTOYNYM

DAMOM,

KTORE TO DZIEŁKO

PROTEKCYĄ SWOJĄ

ZASCZYCIĆ RACZYŁY;

AUTOR, z USZANOWANIEM i WDZIĘCZNOŚCIĄ

PRZYPISUJE.

ROZRYWKI

PRZYJEMNE i POŻYTECZNE.

O GUSCIE.

DO CZYTELNIKA.

Poświęcając to pismo wszelkim rodzajom literatury, mogącym obok przyjemności, stać się pożytecznymi; zdawało się nieuchronną potrzebą, na czele jego umieścić rzecz o guście, czyli smaku.—

Potrzeba ta w naszych czasach, tym niezbędnieyszą się bydź widzi: że już teraz codziennie postrzegamy, zacząwszy od młodzieży, zaledwie ze szkół wychodzącey, co raz większą liczbę ludzi uniwersalnych, *którzy o wszystkiém, co do sztuk pięknych należy, sądzą bez odwołania.*

Może nas kto z razu połaje, za to ubliżające znaczney części, nawet oświeceńszey klassy ludzi mniemanie, kiedy powiemy: że wielu

2

żadnego o guście niémając wyobrażenia, lubią prawodawczo wyrokować o rzeczach, i nieraz kiedy myślą, że ich uwagi z natchnienia prawdziwego gustu pochodzą, właśnie wten czas naymocniey bluźnią przeciwko niemu. Lecz że tey prawdy nikt nam zaprzéczyć nie potrafi: że można bydź mowcą, póetą, muzykiem, malarzem, rzeźbiarzem, architektem, artystą dramatycznym, a przecież wcale niémiéć gustu, i brnąć zbłędów do błędów, w uprzedzeniu o swojey doskonałości;— tym bardziey każdy nam przyzna, że ci którzy do rzędu ich nienależą, a dzieła oceniać pragną, jeszcze mniey go posiadać mogą; i że prawdziwy znawca, jest tak rzadkim i uwielbienia godnym, jak sam artysta za wielkiego uznany.—

Dla tego to spodziéwamy się uczynić dla wielu grzeszących w tym zawodzie przysługę, daniem krótkiego wyobrażenia o guście; które ich, skromnieyszymi przynaymniey, w wyrokowaniu o rzeczach fałszywie zrozumianych, uczynić może.—

Jleż to razy przychodzi ubolewać nad owymi stanowczymi zdaniami, oglądających obrazy, posągi, budowle, pomniki; słuchających opery, trajedyi lub komedyi: o zaletach, wadach, genijuszu, talencie autora, wynalazcy, kompozytora, aktora; jak oni, nayprostszey rzeczy niedostrzegając, unoszą się w pochwałach lub naganach; jak nie raz niezgodni z sobą, nie mogąc jedni drugich na swoją stronę przeciągnąć, chociaż obiedwie politowania tylko prawdziwych znawców są godne: iednoczą spór, owém łacinników przysłowiem: de gustibus non disputandum. *Prawdziwy ten wyskok barbarzyństwa, naymocniey właśnie wymaga, rzucenia pewnych myśli o guście, w których będziemy tylko prostymi tłumaczami zdań Ferneyskiego Filozofa; niemając naymnieyszych praw ani tytułów, do przywłaszczania sobie powagi, abyśmy w tak delikatney materyi, sami stanowić mogli.*

O GUSCIE WOLTERA.

Gust czyli smak, ten pomysł, ten dar sądzenia o przyjemnośći lub odrazie pokarmów naszych, zrodził we wszystkich znanych językach *metaforę*, oznaymującą przez wyraz smak, czucie piękności i wad we wszystkich sztukach; jest to sąd, poznanie bystre, przenikliwe, równie jak języka i podniebienia, który podobnie iak tamte, uprzedza zastanowienie; jest on rówwnie draźliwy, szukający rozkoszy pod względem dobroci rzeczy; — odrzuca równie jak tamte, z odrazą to, co napotyka złego, podpada często, tey samey niepewności i obłędom, niewiedząc nawet, czyli to co mu poddają, powinno mu się spodobać; potrzebując czasem nawyknienia, ażeby się ukształcił.

Niedosyć iest dla gustu widzieć, znać piękność jakiego dzieła: trzeba ją czuć, trzeba nią bydź dotkniętym; niedosyć zaś czuć, i bydź dotkniętym w sposobie nieszykownym; trzeba

umiéć rozróżniać rozmaite odcieniowania : *[nuances]* — nic niepowinno się ukryć przed bystrością zdrowego sądu; i tu właśnie zachodzi jeszcze podobieństwo owego gustu umysłowego, gustu w sztukach, z gustem zmysłowym: bo znawca wina, czuje i postrzega od razu mieszaninę dwòch płynòw różnorodnych; — człowiek z gustem, prawdziwy znawca, za jednym rzutem oka, postrzeże mieszaninę dwóch stylów; uyrzy wadę obok przymiotu; uniesieniem przejęty będzie na ten cudny wiersz w Horaciuszach:

"Que vouliez vous, qu 'il fit contre trois?— Qu'il mourut;

poczuje niesmak mimowolny, usłyszawszy następny:

"Ou qu 'un beau desespoir, alors le secourut. (*)

Jak zły gust w fizycznym względzie, od wymyślnych i drażliwych przypraw zależy; tak równie zły gust w sztukach, od ubiegania się

(*) *Nasz nieporównany rymotwórca Osiński, potrafił z małą odmianą, nagrodzić usterk nieśmiertelnego Kornela, w sposobie wszelkie*

za wyszukanymi ozdobami i nieczucia piękney natury.

Gust zepsuty w potrawach jest ten, ktòry wybiera rzeczy odrażające innych ludzi; jest to rodzay choroby ciała. — Gust zepsuty w sztukach, jest upodobanie przedmiotów obrażających umysły dokończone, przenoszenie rzeczy płaskich, pospolitych, nad wzniosłe i szlachetne; wymuszonych, wymozolonych, nad piękne, proste, naturalne; jest to choroba duszy.

Dobry gust w sztukach, wiele wymaga czasu do swego ukształcenia.— Młodzieniec czuły, ale bez żadnego jeszcze poznania, nierozróżnia odrazu części wielkiego chóru w muzyce; oko jego nie dostrzega z początku w wielkim obrazie: stopniowań, rzutu cieniów, perspektywy, harmonii kolorów, poprawności

---

oczekiwania przechodzącym:

JULJA.

»Cóż miał przeciw trzem czynić?

STARY HORACYUSZ.

»Umrzéć,-- lub w rozpaczy
»Dać poznać przeciwnikom, co rzymska broń znaczy.

rysunku; — lecz zwolna ucho jego zaczyna się uczyć słuchać, oko widzieć; wzruszonym będzie na pierwszey wystawie piękney trajedyi: lecz niezdoła rozróżnić jey zalet i jedności, ani tey sztuki delikatney, która żadney osoby niewprowadza i nieoddala bez przyczyny, — ani tey jeszcze większey, co rozmaitość interessów do jednego środka sprowadza, nakoniec innych przełamanych trudności. Samo tylko przyzwyczajenie i rozwaga, doprowadzają go od razu, do uczucia z rozkoszą tego, na czém się niepoznał z początku. Gust w narodzie który go jeszcze niemiał, ukształca się nieznacznie, bo się stopniami oswaja z duchem dobrych artystów, — nawyka do widzenia i słyszenia okiem i uchem znawców.

Jeżeli cały naród, w pierwiastkach uprawy sztuk pięknych, jednomyślnie polubił autorów pełnych wad i uchybień, i za czasem do nich wstręt poczuł; to jedynie pochodzi ztąd: że autorowie tacy, mieli piękności naturalne, które wszystkich wzruszały, i wady: których nikt jeszcze w tedy odróżnić niebył w stanie. —

Dla tego to Lucyliusz, dopòty był lubionym od Rzymian, dopóki go Horacy niestrącił w zapomnienie; *Regnier* smakował Francuzom, póki niepowstał *Boileau*;— i jeśli inni starzy autorowie, utykający za każdém postąpieniem, zostali jednak u niektòrych narodów przy swojey dawney wziętośći, to jedynie winni są temu: że się nieznalazł żaden czysty i wytrawiony pisarz, któryby ich lubownikom oczy otworzył.—

Mòwią że nienależy sprzeczać się względem gustów (*) i to iest bardzo słusznie, jeżeli tylko idzie o gust zmysłowy, o wstręt do jedney potrawy i pierwszeństwo dawane drugiey;— tu sprzeczka mieysca niéma, bo niejest w naszey mocy poprawiać wady organizmu. Lecz nie tak się dzieje w sztukach;— jak w nich znaydują się piękności rzeczywiste: tak rownie jest smak dobry który je oceniać umié, i smak zły ktòry który ich niezna; i często się nadarza poprawiać wady umysłu, wydającego smak przewrotny. Znaydują się atoli

(*) *De gustibus non disputandum.*

dusze tak zimne, umysły tak opaczne, których ani ożywić, ani naprostować niemożna; z takimi niepotrzeba wdawać się w rozprawy o guscie, bo żadnego niemają.—

Gust bywa samowolny w wielorakich przedmiotach, jak naprzykład, w wyborze materyi, strojów, zaprzęgów: które do rzędu sztuk pięknych nienależą; naówczas gust, zasługuje raczey na imie fantazyi. Ona to raczey, nie gust, wydaje tyle nowości w modach.—

Gust może się skazić w narodzie; nieszczęście to następuje zazwyczay po upłynieniu wieków doskonałości. Artystowie, obawiając się naśladownictwa, szukają dróg ubocznych i oddalają się od wzorów piękney natury, którey się ich poprzednicy chwycili; usiłowania ich zyskują pewną zaletę, a ta pokrywa błędy. Publiczność zakochana w nowościach, ubiega się za niemi, w spowszednionych uczuwa niesmak; i zaraz występują nowi, którzy nowe do przypodobania się

czynią zabiegi, i jeszcze bardziey niż pierwsi, oddalają się od natury: gust upada, nowości zewsząd powstają i giną jedne od drugich; Publiczność sama niewie czego się chwycić, i napróżno żaluje czasów dobrego gustu, które się już wrócić niemogą; jest to szacowny zakład, pielęgnowany tylko jeszcze przez małą liczbę umysłów zdrowych, o podal gminu.

Znaydują się rozległe kraje, do których nigdy gust niedoszedł, są to te: w których społeczność nieudoskonaliła się wcale; gdzie płci obojey mieszkańcy niezgromadzają się razem; gdzie pewne sztuki, jak rzeźba i malarstwo istot żyjących, wzbronione są przez ustawy religii. Gdzie jest mało społeczeństw, umysł zostaje ścieśniony, ostrze jego stępione, niema skąd czerpać smaku. Gdzie zbywa na wielu pięknych sztukach, rzadko tam inne mają się z czego utrzymać, bo ony wszystkie trzymają się za ręce, i zależą jedne od drugich. Dlatego to Azyanie, niemieli nigdy dzieł dobrze

wyrobionych w żadnym rodzaju, i dobry gust niebył prawie dotąd udziałem, jak tylko niektòrych ludów Europy.—

Naylepszy gust w każdym rodzaju, zależy od naśladowania natury, z nayściśleyszą wiernością, mocą i wdziękiem; wdzięk niemoże bydź samowolnym, bo on zależy na tém, aby wystawionym przedmiotom dodawał życia i przyjemności.—

Jak artysta potrochu swóy gust wykształca, tak podobnie i naród. Gnuśnieje on przez cały wiek w barbarzyństwie; naraz mu słaba jutrzenka zabłyska; nakoniec pełny dzień następuje; po którego upływie, długą tylko i smutną znowu zorzę widzieć można.—

W Grecyi za czasòw Peryklesa, dobry gust powszechnie był panującym,— późniey zaginął do szczętu.

Kwintylian wyznaje, że już za jego czasòw, zaczynał się psuć gust Rzymian.—

Włochy postrzegli naypierwsi, że wszystko wyradzało się u nich, w krótce po nieśmiertelnym *Seicento*.—

Addisson powstawał często na zły gust swoich ziomków i to w niejednym rodzaju: już to naśmiéwając się z posągu admirała w czworograniastey peruce,— już okazując wstręt nayżywszy, przeciw igraszce wyrazów, użytey w rzeczach poważnych; już nakoniec przeklinając kuglarzy, wprowadzanych częstokroć do trajedyi.—

W ogóle gust wytrawiony i pewny, zależy na prędkiém dostrzeżeniu piękności między wadami i wad pomiędzy pięknościami.—

Znawca muzyki, malarstwa, rzeźby, architektury, póezyi doznaje wrażeń, zupełnie obcych gminowi; sama przyjemność odkrycia wad pochlebia mu, i daje mu tym silniey czuć piękności. Jest to korzyść wprawnego oka nad surowém. Człowiek z gustem inny ma wzrok, inny słuch, inny takt od nieokrzesanego. Wzdryga on się na widok nędznych draperyi Rafaela, lecz uwielbia szlachetną poprawność jego rysunku. Z upodobaniem postrzega, że dzieci Laokoona, niema-

ją żadney proporcyi z postacią swego oyca; lecz dreszczem jest przejęty, na widok całèy gruppy, gdy w tém inni widzowie, zupełnie są nieczuli.—

W stolicach tylko i to pierwszego rzędu, dobry gust może obierać zamieszkanie, i tak jeszcze zbyt małèy liczby mieszkańców jest udziałem. Nic się niemòwi o pospòlstwie, nic o klassie ludzi zajętey widokami majątku, gospodarstwem domowém, a nawet urzędami. „Co to za szkoda, mówił jeden radzca skarbowy, wychodząc z galeryi obrazów, że ja niemam czasu mieć gustu?„ — Ubolèwać właśnie potrzeba, że dotąd gust prawdziwy, niema zazwyczay wstępu, jak tylko do samych domów opływających w dostatki, które udzielne same w sobie, nielubią go upowszechniać między niższemi.

Gust zatym, jak filozofia,— jest on tylko własnością bardzo małey liczby uprzywilejowanych umysłów.

PRACA.

BALLADA.

Słodka pracy, luby znoju,
Bóstwo szczęścia i pokoju,
Prawych umysłów żywiole;
Któż przy tobie czuł niedolę? —
W naysroższey losu kolei,
Tyś zawsze siostrą nadziei.

Jakże z tobą jest szczęśliwy,
Chociaż nièma własney niwy
Człowiek uboższy od muchy!
Skarbem dla niego chléb suchy,
Słodki choć łzami zwilżany,
Słodki, bo zapracowany.

O wy! których biéda goni,
Aż nad przepaść zgubnéy toni,
Z ostatniéy szaty wyzuci!
Gdy was cały świat porzuci,
Woda zniszczy, ogień spali,
Praca, — praca was ocali.

Zaświadczcie wy zimne ściany!
Jak od świata zapomniany
Lindor wśród północney ciszy;
Kiedy go już nic nie słyszy...
Zamiast płakać swey niedoli,
W pracy pociech szukać woli.

Już gwiazdy witają zorze,
Skowronek w czystey pokorze
Panu zaséła swe pienie;
Już pierwsze słońca promienie,
Pozdrawiają złote globy
Starey Wawelu ozdoby; (*)

Już cały świat przebudzony
Rozprasza się w różne strony,
Goniąc za marnemi zyski;
Wczoray Pan, dziś sługa niski,
Spieszy pożyczyć, — zmarnować;
Lindor jeszcze chce pracować!

(*) *Swiątynia na zamku krakowskim, ozdobiona jest wspaniałą kopułą, któréy wiele części, jest grubo wyzłoconych.*

Jdź na spoczynek Lindorze!
Już ucichło twych klęsk morze,
Już twóy okręt w porcie stoi,
Już rozbicia się nieboi;
Niech cię pokrzepi sen boski,
Już się obudzisz bez troski.

Dokąd sierota Milwana
Dokąd bieży zapłakana!
„ Pożar zniszczył oyców chatkę,
„ Smierć jey odebrała matkę,
„ A dzierżyciel zysku chciwy
„ Z rodzinney wypędza niwy.

„ Lecz choć jest w liczbie tułaczy
„ Niebóycie się jey rozpaczy;
„ Ona zna świętość praw nieba,
„ Że i w nędzy żyć potrzeba;
„ Wychowana w oycòw wierze,
„ Życia sobie nieodbierze.

„ Zbyt wstydliwa, zbyt nieśmiała,
„ Żeby jałmużny błagała;

„ Ach! niespodli cney Milwany
„ Kawał chleba wyżebrany;
„ Bóg i Praca są jey godła;
„ Kogóż w nich nadzieja zwiodła?

Cóż to za śliczna dziewica
Dźwiękiem harfy lud zachwyca!
Patrzcie jak jey władza w tłumie
Podziwienie wzbudzać umie!
Ach! wszakże to jest Milwana; —
Harfa, niebyła jey znana.

Praca ten cud wykonała!
Wszystko poymie kto nią pała; —
„ Jdź Milwano, te podwoje
„ Niech otworzą dźwięki twoje;
„ Spi tam Lindor, zbogacony
„ Pracy swey słodkiemi plony. „ —

Ogniem przeszywa Milwanę,
Jmie Lindora słyszane;
Zna go — kocha — szuka — goni,
Za nim wzdycha, i łzy roni;

O jakże teraz szczęśliwa!
Że go praca jey odkrywa.

Wstań cnotliwy, wstań Lindorze,
Niewolno spać o tey porze;
Oto szczęścia dopełnienie
Odbierać masz w trudów cenie.
Wstaje Lindor!.. Praco miła,
Tyś kochanków połączyła!

O wy! których biéda goni
Aż nad przepaść zgubney toni;
Z ostatniey szaty wyzuci!..
Gdy was cały świat porzuci,
Woda zniszczy, – ogień spali,
Praca, — praca was ocali.

FRANUŚ POD RASZYNEM.

Powieść Prawdziwa.

W roku 1805. jeden z naszych towarzyszów młodocianey pustoty, którego zwykle nazywaliśmy *Żyłką Osińskiego*, dla namiętney czułości, z jaką nam zawsze deklamował, mistrzowskie Jego sceny z przekładu Horacyuszów; — napisał trajedyą w trzech aktach, pod nazwiskiem: Wanda.

Siedmnastoletni póeta, dzieło to wypracował w dniach ośmiu; bo dłużéy sam wiek i niecierpliwość młodzieńcza, niedałyby mu dosiedzieć, wreszcie był tego mniemania: że Wanda jego jest dobra przynaymniey dla takich znawców, jak byli jego rówiennicy, i z tey strony niezawiódł się prawie w nadziei.—

Mieliśmy zwyczay schodzić się cztery razy na tydzień, w domu rodziców jednego z naszych bardzo majętnych przyjacioł, którego śliczne trzy siostry, jak trzy Gracye, i ma-

ło co młodsze od nas wiekiem, należały do wspólnych, lecz zawsze przystoynych zabaw, pod dozorem swey ochmistrzyni; a tak piąciu wesołych chłopców, i trzy nadobne dziewczyny, składali wieczorne koło, do którego poziewanie i nudy nigdy nieznalazły przystępu. —

Czwarty podobny wieczór mijał, a naszego deklamatora niebyło widać; — zaczęliśmy już bydź w obawie, czy mu trochę skrzydełek nieobcięto, ażeby skromniey latał: gdy wreszcie na schyłku posiedzenia, przychodzi *Żyłka* z papierami pod pachą, i już nie z tą zwyczayną postacią rozchwianego młodzika, z jaką nas zwykle witał; lecz nakształt jakiegoś członka w towarzystwie uczonych, spodziewanego z rozprawą lub rymotworczym ustępem, — i zrobiwszy dosyć zimne ukłony, zasiada w krześle, pogląda z duną po nas wszystkich, a pełen, prawie do śmiechu wzbudzającey powagi literata, oświadcza nam uroczyście, powody swey tak długiey nieobe-

nności, w tych patetycznych wyrazach: "*Napisałem trajedyą!*„— "Czy bydź może, zapytała Eliza, naystarsza z naszych Gracyi, WPan już sam trajedye układasz?— Nieinaczey, odpowie, napisałem óryginalną trajedyą...— Musi bydź bardzo oryginalna, przerwie z pustym śmiechem, nieco złośliwa dziewczyna;— Tak, tak, oryginalna, i wy ją grać będziecie, ja zaś tylko ofiaruję się na suflera.— Zgoda!.. wyrzekli wszyscy; niż jednak to nastąpi, znowu przydała Eliza, musisz nam ją WPan przeczytać, i oddać pod większość głosów, czy zasługuje na ten honor?„—

Żyłka wezwaniu powolny, zaczyna od razu deklamować, i pamiętam, że scena 1. aktu pierwszego, działa się pomiędzy Wandą wodzem jey, nazwanym Trepką, gdzie go młoda królowa, temi słowy, prrzychodzącego pozdrawia:

Witay odważny Trepko, w sam czas tu przychodzisz,
Ty który moim woyskom naczelnie dowodzisz;

Doświadczy nas ten Gierman wyniosły i hardy!
Jeszcze nam macedońskie starczą halabardy (*)
Któreś my tym najezdcom świata odebrali; i t. d.--

Unosili się niektòrzy, słuchając tak cudnych wierszy, a *halabardy macedońskie*, uznane za naypięknieyszy wynalazek genijuszu autora, z ust do ust przelatywały; jedna tylko Eliza, zrobiła kwaśną minkę, tak jakby szklankę octu wypiła.-- Trajedya kończyła się na śmierci wszystkich osób grających, że tylko sam nasz autor miał w swey budce suflerskiéy zostać przy życiu, i to ją właśnie w oczach wielu tym godnieyszą pochwał i oklasków czyniło, bo ze wszystkich nam znanych nayokropnieyszą się zdawała.

Następują układy;—sztuka zupełnie zrobiona była na skalę naszego towarzystwa, gdyż z siedmiu osób złożona, trzy kobiet i czterech mężczyzn obeymowała.

Lecz jeden sęk naygorszy! Eliza która miała grać rolę Wandy: po przeczytaniu ostatniey sceny przez autora, wymawiając się od niey, zasmuciła nas bardzo tak niespodzia-

ną *katastrofą*; że jednak wtedy od wszystkich miała więcey poznania i gustu, jest rzeczą bardzo jasną. Jakże mogła bowiem zezwolić na to, kiedy autor wprowadził Wandę w trzecim akcie na ogromnym koniu, walczącą z Rytygierem, i potém razem z koniem wskakującą do Wisły? — "Zmiłuy się WPan, chceszże mnie zrobić kiryssyerem? a wreszcie gdzież to grać mamy tę trajedyą? — Nawet nasz teatr wielki, niewystawiał jeszcze bitwy na koniach, a jabym na drewnianym, po chińsku, wjeżdzać na scenę niechciała. (*) — Ja tego nieodmienię (odpowié rozgniewany pòeta) moja trajedya musi tak zostać jak jest; i Wanda jako bohatyrka, musi walczyć na placu z Rytygierem. — Niech walczy

---

(*) *U Chińczyków, po sto koni jazdy występuje na scenę; lecz rozumie się, że te ich konie są wystrugane z kijów, na których aktorowie chińscy galopują, z zadowoleniem widza.*

ale pieszo,— odezwie się kto inny — Jakkolwiek bądź, uwolniycie mnie od roli Wandy; (przyda znowu Eliza.) Pomiędzy osobami, wprowadzonemi do trajedyi, spostrzegam pazia królowey Zbisława: tego więc rolę przyimuję, a Franuś niech gra Wandę.— To mnie Pani chcesz ślicznie wykierować!— odezwie się drzymiący Franuś B.... w ciągu całey trajedyi, która mu się z niczego niespodobała, że często przerywał autorowi wołaniem: "*Trzy po trzy, i nic więcey!*„ Odczegoż Panie tu jesteście? każda z was może bydź Wandą. Co do mnie, ja zupełniebym nierad wchodzić do tey trajedyi.„—

Franuś był od wszystkich lubiony. Sam *Żyłka*, chociaż kilka razy z ust jego usłyszał tak dotkliwe przygany, pod czas czytania swego dzieła; i chociaż, co daleko ważnieysza: zamyślał bydź póetą, niegniewał się o prawdę; bo Franuś ją każdemu ciął w oczy, bez obwijania w bawełnę.— Był to chłopiec nader przyjemney postaci,— blon-

dynek, twarzy właśnie dziewięczey; dla tego też Eliza ofiarowała mu Wandę.—

W ciągu sześcioletniego wspòł uczeństwa z nim w szkołach, niedoświadczono nigdy, by ktòrykolwiek z dobrych uczniów użalił się na niego, albo z nim zaszedł w nieprzyjaźń. Tak był skromny, tak cichy, że go nauczyciele za wzór młodzieży wystawiali; był to istotny anioł w postaci ludzkiey i przytém uczył się bardzo pilnie.

Że jednak ta łagodność charakteru Franusia, niebyła cechą słabey duszy, wiedzieli o tém wszyscy ci ktòrzy go z blizka znali. Nikogo on niezaczepił, nikogo nieobraził, nikogo się też nielękał; ale raz obrażony, wpadał w tak mocne rozdrażnienie, że ktokolwiek zarobił na gniew Franusia, stał się nazawsze celem jego niechęci. Słowem w postępowaniu jego malowała się rzadka łagodność umysłu, z nayzimnieyszą odwagą połączona.—

Po długich naleganiach Elizy, z którą się naostatek wszyscy złączyli; dobry Fra-

nuś, wymòwiwszy sobie, zupełne przerobienie tey trajedyi konney na pieszą, podjął się nakoniec roli Wandy, a Eliza została paziem królowey, i trajedya miała bydź graną za miesiąc, w dzień imienin wuja Elizy, który był własnie obecny tey ważney radzie i na wszystko zezwolił.—

Zaraz na trzeci dzień, odebraliśmy role własną ręką autora rozpisane, bo cała trajedya 400 wierszy nieprzechodziła. Niebawem nastąpiły próby, do których Franuś był zawsze przymuszony w kobiecym stroju występować.

"Ach! jak przyjemna z ciebie dziewczyna! niemówiłamże tego?„ zawoła raz śliczna Eliza„ — i uniosłszy się prędkością, a raczey zapomnieniem, czule pocałowała Frauusia, będąc sama w ubiorze pazia! — Na raz oboje stanęli w karmazynowych kolorach; Franuś omamiony słodyczą ust dziewiczych którey pierwszy raz w życiu doznał; — Eliza, zawstydzona swoją płochością. Na szczęście nikt z rodziców niebył obecny próbie, zwłaszcza tak niebezpieczney, — a stara ochmistrzyni francuzka,

chrapała na piękne przy ekraniku; — lecz niewinne pocałowanie stało się rękoymią wieczney miłości, pomiędzy żeńskim pazikiem i mezką królową Chrobacyi. (*) Odtąd trajedya, daleko więcey życia, więcey ognia nabrała, niżeliśmy przewidzieć mogli. Autor jakby zmówiony z swawolnym synem Wenery, utworzył nierozważnie w swey sztuce skrytą miłość Wandy z Zbisławem, którey biedny Rytygier miał bydź igraszką, — a tak Eliza, mimowiedzy, wplątała się w zwodnicze sidła kochania.

Miała ona czternasty rok skończony, — Franuś zaczynał dziewiętnasty; — na tydzień przed wystawą trajedyi, zwierzył mi się swojego szczęścia, że kocha i jest kochany.

Trudno wyrazić tey trwogi i rozkoszy jakich zbyt młodzi kochankowie na przemian doznawali, w samym dniu widowiska. Role ich były na scenie takiey samey natury, ja-

(*) *Wkrótce wyjdzie z druku nowa trajedya Fr. Wężyka, pod napisem* WANDA, *arcydzieło w swoim rodzaju.*

kie odtąd w istocie pomiędzy sobą grali. Wanda ukrywała przed swoim dworem i senatem, że kocha pazia; Eliza przed rodzicami, siostrami i ochmistrzynią, że ginie za Franusiem. J nic też doskonaley na naypierwszym teatrze, w żadney trajedyi nieoddano, jak były wszystkie sceny, grane pomiędzy Wandą i Zbisławem.

Dobry wujaszek, po skończoney wystawie, z uniesieniem pochwycił ukochaną Elizę i do serca przycisnął, mówiąc: "Dziewczyno, prawdziwą jesteś Melpomeną, a przynaymniey zrównałaś Leduchowskę! Ale oboje, oboje z Franusiem, graliście jak anioły w niczem nieustąpiliście sobie!„—

Ze wszystkich widzów, ja ubawiłem się naylepiey, jako wiadomy taynych przyczyn tey gry tak doskonałey. – Autor wyszedł z tryumfem, okryty oklaskami: że gotów by był tey chwili, zająć się nowym przekładem Horacyuszów; lubo niewyszło roku, a swoją ubóstwioną Wandę, z zimną krwią cisnął w ogień.

Znikło ulotne dzieło, lecz owoc jego, miłość dwoyga kochanków Elizy i Franusia, wzrastała potajemnie.—

W roku 1807, całe nasze towarzystwo dramatyczne płci mezkiey, rozproszyło się po różnych półkach woysk xięstwa warszawskiego. Franuś wszedł do strzelcow konnych okryty barwą swéy kochanki, tą samą właśnie którą grając królowę, ozdobił pazia w trajedyi.— Autor i Rytygier poginęli przy oblężeniu Gdańska, my oba zeszliśmy się dopiero we dwa lata, i to znowu pod czas wrzawy wojenney.—

Franuś, jak był franusiem, kochanym niegdy w szkołach, tak równie i w swoim półku. Żołnierze, officerowie, sam nawet półkownik, inaczey o nim niemówili, tylko: „*Nasz Franuś!* Jak dusza jego cnotliwa, serce nayczulsze, niezmieniły się z wiekiem tak i miłość ku Elizie, z czteroletnim przeciągiem czasu, nieuległa odmianie.—

W dzień wyjazdu pod Raszyn, był jeszcze z pożegnaniem u swey ubóstwioney kochanki; bogaci rodzice i wujaszek, z razu temu związkowi dość przeciwni, życzyli mu teraz szczęśliwego powrotu, oczekując go z wieńcem uwitym z mirtu. Eliza łzami zalana, jakby przeczuwała nieszczęście, pożegnała Franusia, który wnet jak błyskawica, dopadłszy kasztanka, nakarmionego na drogę cukrem z śnieżney rączki swey przyszłey Pani, zniknął prawie z jey oczu.—

Śmiały i mężny młodzieniec, mimo nayczkliwsze prośby kochanki, aby ile możności unikał widoczney zguby, zdawał się na placu bitwy, myśleć tylko o sławie i oyczyznie.

Walka trwała do nocy; z półku Franusia bardzo wielu zginęło.— Huk dział rozlegając do koła, smutnemi przeczuciami i trwogą napełniał serce Elizy.—

Już bardzo późno wieczorem, kiedy posępną ciszę z niepewnością losu bitwy sto-

warzyszoną, jęki tylko ranionych których coraz więcéy zwożono do stolicy, bolesnie przerywały; wchodzi zmieniony, wybladły wuy Elizy, wracając prosto od rogatek jerozolimskich, i niespostrzegłszy płaczącey i modlącey się w oknie swey siostrzenicy, rzecze do jey rodziców: "*Okropną wieść przy-„ noszę! Franuś, nieżyje!*„—

Krzyk, tysiąc razy okropnieyszy przeraża nagle ucho jego. Eliza wymówiwszy tylko imie kochanka, pada bez zmysłów,—dobra jey matka utraca równie przytomność,—czarna rozpacz naraz wszystkich dusze ogarnia.... że ledwie czuły oyciec, mógł zawołać ratunku. — Niebawem pokóy zostaje napełniony strwożonemi domownikami;— przywołani lekarze, z wielką trudnością zdołali się przekonać, że nieszczęsna istota, jeszcze żyje;— lecz długi przeciąg czasu upłynął, niżeli ją mogli z rąk zimney śmierci wydobydź. Zaniesiona Eliza do osobnego pokoju, za kilka dopiero godzin, mogła poznać rospaczającą

matkę i przytuliwszy się do jey łona, strumienie łez wylewała;— wtedy dopiero lekarze, byli w stanie dać mały promyk nadziei sercom stroskanych rodziców— i rozpaczającego wuja pocieszyć, który sobie siwe włosy z głowy wyrywał.—

Nieprędko on zebrać mògł siły, ażeby opowiedzieć oycu Elizy, że aż do ciemney nocy czekając w tłumie niespokoynych mieszkańców zebranych przy rogatkach, wiadomości o losie bitwy; usłyszał wyraźnie, dwóch żołnierzy wiezionych z pobojowiska, jak mimo własne rany, opłakując stratę kochanego Franusia, kilka razy powtórzyli te słowa: *"O biédny, biédny nasz Franuś! jak to dziecko było odważne, jak on zachęcał nas do bitwy! Na sztuki, na sztuki rozszarpany! Na krótką tylko chwilę poprzedził zgon półkownika!..„*— Lecz niemògł się do nich przecisnąć.

Nazajutrz, gdy już jakokolwiek minęło niebezpieczeństwo Elizy; oyciec jey przedsięwziął jechać do Kommendanta placu, a po-

tém wreście do lazaretów, dla zupełnego przekonania się o tym nieszczęśliwym wypadku, bo już Franusia kochał i uważał jak syna.—

Tymczasem biédna Eliza w obięciach swojey matki, na jednę chwilę od lekarzy nieodstąpiona, żadney pociechy, naymnieyszych powątpiewań o smutney wieści ostatniego wieczora nieprzyjmując, w czystey jedynie religii, w miłości Boga, szukała ulgi dla serca miotanego rozpaczą.-- "O już on pewnie nieżyje! Już go nieyrzę więcey!... Gdyby żył jeszcze, wiedziałabym do tey pory o jego losie.— Elizo, rzecze rozrzewniona matka ze łkaniem, czyliż to żołnierz jest panem swoich godzin? — Nie pocieszay mnie matko, prożna nadzieja, powiększałaby tylko rany moje! On mi dał słowo....— Uspokòy się— wuy może się przesłyszał; ja mam jeszcze jakieś przeczucie.-- Żadnego! żadnego! przeczucie zbliżającey się śmierci, to jest moje przeczucie....„— Zemglała; a lekarze musieli prawie użyć mocy, aby od niey oddalić matkę, przyczyniającą jey boleści

swoim opłakanym widokiem.— "Która godzi„ na!„— krzyknie przeraźliwie Eliza, przywrócona znowu do zmysłòw?—"Dziesiąta już dochodzi,...„— odpowie ochmistrzyni, trzymając ją za rękę.—"Ach! wczoray żył jeszcze o tey dobie! niemasz go! niemasz biednego!... niemasz?... Gdzie mòy oyciec! wszyscyż mnie odstąpili!..—Kochana siostro, zawoła Jzabella, wszyscy jesteśmy przy tobie!.. może w krótce i Franuś... Papa go szukać pojechał..— Szukać pojechał?... szukać go! o mòy oyciec naydroższy!..on go szuka!.. ach!.. gdzież go znaydzie?...Utarzanego w piasku z własną krwią pomieszanym!...„—

Wuy Elizy, dowiedziawszy się o rozeymie zawartym pomiędzy obu woyskami, pojechał prosto do obozu, lubo wszelkiey nadziei próżen.— O jakby on był szczęśliwy, gdyby mògł się przekonać że to była omyłka! Życie własne, wszystko co tylko posiada, gotówby oddać za to.—

Już druga z południa uderzyła, a jesz-

cze żaden z nich niepowracał... Eliza ustawicznie wzywała oyca, nikt jey nieśmiał dać odpowiedzi.—

Nakoniec około czwartey, zachodzi powóz na dziedziniec.. Eliza pierwszy raz od półgodziny zbolałe przymrużywszy powieki, pierwsza dosłyszała turgotu.. chciała się zerwać z łóżka i biédz do okien,— zaledwie ją wstrzymać zdołano.. —

Jest jeszcze promyk nadziei. — Oyciec Elizy dowiedział się z pewnością, że półkownik strzelców konnych niezginął, a nawet niebył raniony; zatem już jedna sprzeczność, jakokolwiek pocieszająca; lecz więcey nic niezdołał wyśledzić. Znalazł wprawdzie trzech officerów z tegóż samego półku w lazarecie, znalazł kilkunastu żołnierzy, ale wszyscy z innych szwadronów; którzy wprawdzie znali Franusia, lecz *o jego losie*, naymnieyszey niemieli wiadomości.— Co jednak nayokropniéy przeraziło tkliwego starca, była powieść jednego z pomiędzy trzech officerów; że czteiey

żołnierze z drugiey kompanii, pierwszego szwadronu do którego należał Franuś, z ciężkich ran poumierali nadedniem, i że ta właśnie kompanija w naywiększym znaydowała się ogniu.—"Ci to zapewne nieszczęśliwi, pomyślał on sobie, opłakiwali Franusia,— i powracał do domu, zabawiwszy aż do tey pory, na daremnych poszukiwaniach.— Na senatorskiey ulicy, napotyka jednego podoficera z tegoż półku w naywiększym pędzie; — woła, — nie jest *słyszany*; — rozkazuje woźnicy, gdyby konie miały popadać, aby gnał za nim.— Dopędza go przed pałacem ministra Policyi;— wyskakuje z pojazdu,— już na schodach zatrzymuje posłańca nadziei, lub rospaczy... ze łzami pyta o Franusia.—"Nic niewiem, co się z nim stało
,, odpowie podofficer; widziałem tylko że ku-
,, la zraniła mu prawą rękę;— lecz wzięty sam za
,, ordynansa do sztabu dywizyjnego, niemogę o
,, dalszych wypadkach w naszym półku nic
,, pewnego powiedzić; słyszałem tylko że z
,, pierwszego szwadronu, mało kto został przy

„ życiu.„— Promyk nadziei zabłysnął— i zniknął jeszcze prędzey. —

"Oycze! prawdę mi powiedz; nieprzybieray daremnie tey spokoyney postaci; rzekła do wchodzącego, na głośne swoje krzyki Eliza; ona mnie nieułudzi; ja wiem że dla mnie już nic niemasz na ziemi... tam! tam! na łonie Przedwiecznego! tam czeka mnie moje uszczęśliwienie!„

Z zupełném poświęceniem się woli Boga, wysłuchała rzetelney pewieści oyca, wołając za każdém słowem na płaczącą swą matkę, ażeby łez nieroniła. "Nieżyje, pewno nieżyje, tak mi zatrwożone serce powiada;— ale niebóycie się o mnie, ja nieumrę; ktożby go słodko wspominał? Będę żyć, abym na jego mogile pielęgnowała cyprysy, pod których kiedyś cieniem, upragniony znaydę spoczynek „— Słowa te, wyrzekła tak pieszczotliwie, tak spokoynie i tak niewinnie, że lica przytomnych lekarzy łzami zroszone zostały.—

Zginął Franuś! powtórzyli już wszyscy i zginął niestety! rzeczywiście; walcząc przeciw jednemu z naysławnieyszych półków nieprzyjacielskiey piechoty *Dawidowicha.*—

"*Co?.. słaba? . niebezpieczna!... Cóż jey się „ stało? mogęż ją widzieć?.....*„ — głos ledwie dosłyszany na schodach, przerywa nagle, jakby grobowe milczenie, w pokoju Elizy panuiące.—Matka i oyciec... wybiegają, niepojętém uczuciem przeniknieni. .— Eliza zdawała się usypiać... niepostrzegła powszechnego wzruszenia... lekarze pełni radości, któřey sami niebyli w stanie odgadnąć, spoyrzeli tylko po sobie... siostry Elizy na palcach ku drzwiom pospieszyły... cichość, słodka cichość, rozlała wonie nadziei... Eliza spi... ochmistrzyni się modli... i zdaje się z duchami opiekuńczemi niewinności zasypiającey, rozmawiać... Godzina piąta wybija... cóż ona ma zwiastować, niczém już niepocieszonym.. rozpaczającym, nad przeznaczeniem dwóch ofiar pożaru okrutney woyny...!

O! ktokolwiek opłakiwałeś domniemaną śmierć oyca, brata, przyjaciela, kochanki, i potém uyrzałeś tak drogą tobie istotę wchodzącą w twe podwoje... odbierz mi pióro.. i dokończ sam tey sceny, mistrzowskiego pęzla wymagającey.... Niepotrafię cię zaspokoić..... niezdołam ci odmalować tak czarownego obrazu, jakim ty chcesz nasycić twoję czułość. Franuś to Franuś przybywa... i okryty chlubnemi blizny.... przywraca życie w dom naymilszy swojemu sercu; który miał w krótce, zamienić się w pustynią. — Dokończ, mówię, za mnie tego obrazu.—Franuś żyje. .. niebo Elizy, nayczystsza miłość wypogadza... zapomina doznanych cierpień... wspomnienia ich pomnażają rozkosz ożywionych na raz wszystkich uczniów. !.—Jeszcze raz ci powtarzam, weź pióro, i odmaluy przynaymniey ten uśmiech, wywiedzioney z czarnego błędu kochanki, który z jey niebieskich oczu, w objęciach lubego spada!...—

Niebawem wbiega znużony, radosną wieść niosący wny z obozu, iż Franuś żyje! Ale jak z okropną, przybył wczoray zawczesnie, tak dziś z pocieszającą zapóźno; bo go już zastał u nòg Elizy, okrytego ciężkiemi rany, lecz wolnemi od wszelkiego niebezpieczeństwa.—

Objęty konwencyą z wodzem woysk austryjackich zawartą, pozostał Franuś do zupełnego wyzdrowienia w Warszawie;— Eliza to, czuwała teraz nad kochankiem i nayszczęśliwsza, że po wypłaconym długu oyczyznie, mając go już za swoją własność: mogła się nim ustawicznie zaymować, jemu poświęcać wszystkie chwile, których nadziemska słodycz, nadzieją przyszłego uszczęśliwienia, czystą jey duszę napawała. Hymen połączył w kròtce te dwie godne siebie istoty. Franuś w roku 1810. wyszedł ze służby, ozdobiony krzyżami woyskowemi.

Lecz jakiegoż to Franusia opłakiwali ci ranieni żołnierze? Jakiż to Franuś zginął w rozprawie z pòłkiem *Dawidowicha*?—

Był to Franuś Wilczek sierżant starszy półku 8go piechoty, równie iak tamten kochany, równie po imieniu nazywany w swey kompanii, równie młody, nieustraszony. Omyłka ta w tydzień dopiero, mojém staraniem się odkryła. Znałem i tego od dzieciństwa, razem odbywaliśmy szkoły; — jeszcze teraz jego wspomnienie, drogie jest sercu memu. Prawie pierwsza kula nieprzyjacielska, ugodziła cnotliwego młodzieńca. —

LOTERYA FANTOWA

NA

UBOGICH.

w Krakowie 6. marca 1826.

Dobroczynny ten rodzay zabaw, od kilku lat upowszechniony, winien swóy stały byt, czułości serc Płci piękney, która w samych nawet rozrywkach, szuka źrodeł wspierania nieszczęśliwych.

Wtym roku, dwa mieliśmy szczególne fanty, między wielu nader pięknemi: był to baranek żywy, i pakiecik w kształt książeczki zrobiony, zawierający w sobie kilka set exemplarzy wierszyka na cześć Płci piękney, trudniącéy się losem ubòstwa; — które zamierzyliśmy opisać. —

BARANEK.

Jako ewangeliczne godło pokory i niewinności, był nad wszystkie widoki nayprzyjemnieyszym; — dla śmieszney zaś postaci, za-

lęknionego i razem ździwienego stworzenia, widokiem oświeconey rzęsisto sali, pełney tylu rozmaitych przedmiotów, — zabawił całą Publiczność. — Baranek ten, z prawdziwego merynosów plemienia, bielszy od śniegu i jedwabiowi delikatnością równającey się wełny, z rogami i kopytkami suto wyzłoconymi; wygrany został przez osobę nietrudniącą się gospodarstwem, i zaraz przez właściciela i miłośnika owczarni takiegoż samego szczepu, nabyty; — jakże musiał bydź szczęśliwy, uyrzawszy się zaraz nazajutrz w tłumie swoich współbraci, i jakie musiało bydź zadziwienie tamtych, gdy go tak śnieżnym i świetnym od blasku złota uyrzeli?

Oto jest właśnie opis tego spotkania, w krótce nedesłany po odbytey Loteryi.

Sam owczarz zdjął czapkę z głowy
Na ten widok w cale nowy:
Baranek z złotemi rogi,
Złotem błyszczącemi nogi!

Z jakiegoż to kraju świata
Godność jego tak bogata?

Lecz on w pokorney postaci
Wzdychał tylko do swych braci,
Niechcąc spoyrzeć na posterza
Co go od stop do głów zmierza,
Wełnę głaszcze, rogi chwyta:
Skądżeś rodem, chciwie pyta?
On tylko swoich rozumié,
Z swojemi rozmawiać umié;
Tam więc pospiesza i wbiega.

Wraz *bek*, owczarnie zalega
Zlękniona widokiem Pana
Hurma owiec pomieszana,
W jednym kącie murem stawa.

Skąd wasz popłoch i obawa?
Bracia, siostry, gość im rzecze:
Ja tak równie jak wy beczę,
Jak wy baranek łagodny
Daycie mi jeść, bom jest głodny.

"Cóż ci da, tłum nasz ubogi?
Tyś Pan, złote nosisz rogi,
Srebrny masz ogonek, wełnę!
My kopciuszki brudu pełne,
Żywiemy się tylko sianem
Tobie może i nieznanem. —

"Proszę was, porzućcie żarty,
Rzecze baranek otwarty;
Daycie mi wytchnąć troszeczki,
A dowiécie się owieczki:
Że od was nieróżny niczem
Na chwilę będąc paniczem;
Powracam w rodzinną strzechę,
J tę lubą mam pociechę
Że mi moje rogi złote
Dały poznać ludzką cnotę.„—

Tu ciekawość górę bierze;
Wraz go owce przyjmą szczerze,
Nayzieleńsze sianko znoszą,
Ażeby jadł, grzecznie proszą;

Każda pragnie mu usłużyć:

"Biedaczek! musiał się znużyć
Przez tak daleką wędrowkę;
Oprzéy sobie o mnie główkę
By ci lepiey smakowało;—

"Może tego sianka mało?
Beknie mile owca inna
Grzeczna miła i uczynna;—

"Jeśli barancio pozwoli,
Ja mu dam kruszeczkę soli;—

"A ja garsztkę koniczyny
Którą jadam z rąk Haliny;—

'Ja ziółeczek odrobinkę!..„—
Słowem by słyszéć uowinkę
Rzecz i u nas tak lubioną,
Gościnnością owce płoną;
I tyle go nakarmiły
Że wnet jak basza otyły,

Buzię sobie pogładziwszy
Nasz baranek nayszczęśliwszy,
Za gościenne uraczenie
Podziękował uniżenie,
J w te zaczął mówić słowa:
„ W murach starego Krakowa,
„ Mieszka cichy związek ludzi,
„ Co się nędzy losem trudzi;
„ Temu związkowi płeć biała
„ Takie prawo przepisała:
„ *Zbierać i dzielić jałmużny,*
„ *Jako dar bliźniemu dłużny.*
„ Każdy wielbiąc te zwyczaje
„ Naco go stać, chętnie daje
„ Dla wsparcia kalek, łazarzy:
„ Móy Pan tedy mną ich darzy.—

„ Dziękuję ci uniżenie!
„ Miałeś więc póyśdź na stracenie,
„ Wystrojony tak bogato...„—
— Owca jedna rzecze na to?
„ Mylisz się kochano siostro,

„ Niesądź ludzi tak zbyt ostro;
„ Mnie tam wcale zjeść niechciano,
„ Tak jak my zjadamy siano;
„ Byłem Fantem.— Cóż to znaczy?—
„ A Bógże to wytłomaczy?
„ Mnie samemu fant zagadką.—
„ Rozłączony tedy z matką
„ Ktòréy zapomnieć niemogę
„ Beczałem przez całą drogę
„ Myśląc gdzie mnie wiozą? po có?—

"Aż mnie myją, aż mnie złocą,
„ Za przybyciem do Krakowa!
„ Wnet moja rogata głowa
„ Moje kopytka zabłysły
„ Jak od słońca brzegi Wisły;
„ Wnet do raju wprowadzony,
„ Spoyrzawszy na wszystkie strony
„ Ledwie żyję z podziwienia!

"Ach! to nie dó wysłowienia
„ Co me oczy tam widziały!

„ Krocie złotych gwiazd, rzucały
„ Milijonowe promienie
„ Na zebrane zgromadzenie!
„ To wyraźnie tak jak w niebie!
"Widziałem około siebie
„ Mnóstwo prześlicznych zwiórząteк;
„ Woły mnieysze od jagniątek,
„ Lwy i konie okazałe;
„ A wszystko to takie małe
„ Gdyby łasiczki lub krety; (*)
„ Każde pilnując swey mety
„ Z miną pokorną, nieśmiałą,
„ Nieryknęło, nie zarżało.—
„ Oy! widziałem też i wilka,
„ Lecz był mnieyszy od motylka;
„ Daley niezliczone cacka.

"Wszystko to brano z nienacka
„ Za daniem jakieyś gałeczki,
„ Na kształt tych, co my owieczki

(*) *Różne figury porcelanowe.*

„ Na lekarstwo dostajemy.—
„ Stałem osłupiony, niemy,
„ Wśród czarownego obrazu,
„ Niebąknąwszy ani razu.

"Wreszcie i mnie także wzięto,
Za tę gałkę niepojętą
„ Z którey, niewiem w sposób jaki,
„ Wsparcie zyskują biedaki.

"Ale czego niezapomnę:
„ Są aniołki, czułe, skromne,
„ Które tam chodziły w bieli.
„ O gdybyście ich widzieli!
„ Jakie oczy ładne mają,
„ Jak się ślicznie uśmiechają;
„ Jakie szyjki, rączki białe,
„ Co za postacie wspaniałe,
„ Co za włosy krucze, złote!

"One to wpajają cnotę
„ W serca swoich wielbicieli;
„ Dla nich każdy chętnie dzie

„; Ostatni grosz z nieszczęśliwym,
„ J zły się staie cnotliwym.„—
Natym zakończył baranek
Rys Edenu i Niebianek.

PAKIECIK.

Drugi fant o którym wyżey wspomnieliśmy, to jest piękny pakiecik z wierszami, zawierał w sobie hołd uwielbienia dla Płci piękney, za tegoroczną loteryą, w tych wyrazach:

Płci szacowna, płci wielbiona
Cóż porównać z twemi wdzięki!
Dźwigasz bliźnich z nędzy łona
Mocą twey czarowney ręki...

Wzruszona ich przeznaczeniem,
Uśmiéchem wlewasz nadzieję;—
Oziębłość kruszysz spoyrzeniem...
Chciwość przed tobą trętwieje!

Niezwykły wesprzéć nędzarza
Sknera uczuwa twe cnoty,

Spieszy do twego ołtarza
Niosąc hołd bóstwu szczodroty!

Lecz dziwić mu się nietrzeba,
Czegóż twóy przykład niezdoła?
O! nienapróżno ci nieba
Nadają postać anioła!

Ta jedna rozrywka miła,
Owoc twojego starania,
Jluż nędznych ożywiła
Jluż od zguby ochrania!

Ucichły jęki sieroty,
Osuszone łzy cierpienia;
Ach! sam widok Twojey Cnoty
W łzy radości je zamienia.

Znowu biédny tchnie swobodą,
Przez twoje usiłowanie;
J cóż dla Ciebie nadgrodą?...
Słodkie... słodkie przekonanie!

MORDERSTWO PRZEZ TRUCIZNĘ.

ZDARZENIE SPÓŁCZESNE.

Szczególnieyszy wypadek, zdarzył się przed kilku laty, w bliskości jednego z wielkich miast niemieckich. Niejaki Merbach, były liwerant woyskowy, kupił sobie grunt kmiecy we wsi W... ażeby tam spokoynie mógł używać nader znacznego majątku, który zebrał podczas ostatniey woyny.— Niemając żony ani dzieci, mieścił przy sobie cztery osierocone córki po zmarłym bracie wdowcu; które odebrawszy w stolicy przystoyne wychowanie, miały mu uprzyjemniać resztę życia i potém odziedziczyć jego majątek.— Chatkę z gruntem nabytą, kazał zburzyć, a w mieyscu jey, wybudować letni pałacyk w stylu włoskim, który w przepychu i guście, niemiał sobie w okolicy równego.— Prawie każdey niedzieli, zjeżdzał się do niego z miasta róy wesołych przyjacioł, którzy z nim polowali, bie-

siadowali i bujając po całey wsi, robili miłosne oświadczenia młodym wieśniaczkom, przystrojonym na ten dzień zwykle, w czerwone krótkie spodniczki, nadaiące im postać dzwonów. Wszystko to, a szczegolniey umizgi, bardzo złym okiem uważali mężowie i narzeczeni. Cała wieś niecierpiała Merbacha. Nikt niewiedział z pewnością, zkąd brał tyle pieniędzy na życie tak wytworne. Powszechnie utrzymywano, że się w woynie spanoszył; lecz gdy wieyski mieszkaniec, zniszczenia tylko w czasach podobnych zwykł doświadczać, zrobienie przeto majątku w epoce powszechney nędzy, przechodziło horyzont ich pojęcia. Z tąd urosła prawie powszechna między niémi pogłoska, że talary Merbacha, nie musiały zwyczayną drogą wtoczyć się do jego skrzyni. Powoli wieyscy kumowie i kumoszki, zwiększając i zmnieyszając naprzemian rozmaite światłe przypiski do tey ważney powieści, utworzyli nakoniec wiarogodną historyą, pod naywiększym sekretem w jednym dniu po całey

wsi rozdmuchniętą: "że Merbach, zwietrzyw-
„ szy u jednego officera, powracającego z kam-
„ panii, którego dostał na kwaterę, pełny ku-
„ ferek złota: wyprawił go cichaczem z tego
„ padołu płaczu na tamten świat, i pieniądze
„ zagarnął; a dla większego bezpieczeństwa,
„ odmienił zamieszkanie.„ Jak tylko ta pogłoska wyszła z *redakcyi* i *korrekty* wielkiey rady, reszta już sama przez się jasną była jak słońce. — Dopiéro to spostrzeżono, że Merbach niebywał nigdy na kazaniu, bo się obawiał prawdy aby z niego maski niezdjęła; kapelusz nosił na oczy, bo go ludzkie spoyrzenie przestraszało; żył w ustawiczney wrzawie trzpiotów i darmozjadów, aby uniknąć samotności, pod czas którey sumienie, naywiększy *szturm* do serca przypuszczać zwykło. W krótce te wszystkie *symptomata*, obiegały w poczciwey gminie za gotową monetę; widocznie ciężka zbrodnia, tłoczyła duszę Merbacha. Do tego, z porządku rzeczy wznowiono dawne przysłowie: "*Z jakim kto przestaje, takim się sam staje*„ co nader trafnie

zastosowano do owey czeredy mieyskiey, która z każdym przyjazdem, zaledwie całey gminy do góry nogami nieprzewróciła. Słowem że chłopi mieli naywiększe podeyrzenie o Merbachu i prawie na wyścigi starali się wyrządzać mu naywiększe szkody, w czèm tylko mogli. Starzy wypasali mu łąki, zasypując z umysłu nowe przekopy i rowy; młodzi kradli owoce z ogrodu, łamali gałęzie, i drzewka w szkółce z korzeniami wyszarpywali, nie bez chytrey pociechy, że go za czasem, przez ten sposób do ostatniey nędzy przywiodą. — Merbach gniéwał się w prawdzie oto i nieraz do upadłey, że w pierwszém uniesieniu, gotòwby był któremu kazać karku nakręcić; lecz skoro tylko siadł do stołu w pośród swoich brunetek i blondynek, których wesołość była piątą rodzoną siostrą; lub też mając około siebie żwawych przybyszów ze stolicy: wraz zapominał o wszystkiém, a 100,000 hollendrów uwięzionych w szkatule, wszystkie owe zamachy poczciwych głupców na jego zubożenie, podo-

bnemi czyniły spiskowi garsztki kretòw, chcących jego piękny pałacyk, podkopać i obalić. Zawzięci nieprzyjaciele tey nawet niedoznali pociechy, iżby im kiedykolwiek wyrzut jaki uczynił, tym bardziey żeby miał w wieyskim trybunale szukać z nimi spotkania.—"Otoż macie naywidocznieyszy dowód, że na złodzieju czapka gore! mòwili pomiędzy sobą *sensaci*; gdyby on miał czyste sumienie, wnetby tu z nami zadarł w koty; ale on izby sądowey tak się boi jak piekła, bo przewiduje dobrze, jakby się wykierował, gdyby go pociągnięto za język: czém dawniéy był? czém się trudnił? z czego zrobił taki straszny majątek, że teraz żyje sobie swobodnie gdyby jaki Elektor Rzeszy?„—

W każdey pogłosce, bywa cokolwiek prawdy. Jak dalece ta powszechna zasada stwierdziła się w ninieyszey sprawie, przekona czytelnika dalszy ciąg niezmyślonej powieści.— Pewnego dnia, kmieć Bartłomiey pojechał z drewkami do miasta, które po-

przedniéy nocy, prawem uchwalonego poszukiwania krzywd ludzkich na majątku Merbacha, skradł mu w parku. —"Czy niejesteście przypadkiem ze wsi W... zapyta go młody mężczyzna przejeżdżający konno? — i na stosowną odpowiedź, daje bilecik do Merbacha, z prośbą wręczenia go natychmiast skoro tylko wròci do domu, gdyż miał bydź bardzo pilny. Bartłomiéy powiedział: *dobrze*, i schował pismo do kieszeni.— Napowrót jadąc, zabrał z sobą dwunastoletniego chłopaczka, ktòry był synem bakałarza z tey samey wioski. Podeyrzliwy Bartłomiéy obracał list na wszystkie strony. Otworzyć go? nieśmiał; lecz radby z duszy wiedzieć, co się w nim zawierało. — Młody mężczyzna, był znajomy Merbacha; widywał go nieraz Bartłomiey goniącym po wsi za dzwonami, i musiał też nawzajem bydź od niego poznanym. Tak natarczywie prosił o śpieszne oddanie listu? Nie, to niemoże bydź bez kozery! — Zwinąwszy go więc w rurkę, zayrzał w środek

i dostrzegł niektóre pociągi pióra, lecz nieumiał czytać pisanki. Na szczęście syn bakałarza uczony genijusz, siedział na wozie; jemu więc dał Bartłomiey widzialne słowa przeczytać, a ten wysyllabizował: *Major — trucizna — trupa do powozu — pohulać — do północy.* — Oko młodego Jnkwizytora nic więcey odkryć niemogło; ale Bartłomiey dość miał na tém, ponieważ list wyraźnie mówił: że ktoś ma bydź otruty, że trupa zawiozą do Merbacha i potém będzie hulanka. — Dotąd Bartłomiéy szedł piechotą przy koniach, teraz wsiadł na wóz i poganiał swoje taranty — bo list palił mu się w kieszeni. Stanąwszy w mieyscu, pobiegł co prędzey do Pana Protazego sołtysa, opowiedział mu wyczytane słowa, i uroczyście złożył list na stole. Pan sołtys kazał nayśpieszniéy zwołać gminę, przedstawił zgromadzeniu wypadek nader wielkiey wagi i jednomyślne otrzymał upoważnienie do otwarcia biletu, aby raz przecież się oświecić względem tego nieodgadnionego Merbacha. —

Jakoż tą razą mądra gmina, niezawiodła się na swojéy przenikliwości. List był następuiącey osnowy: "*Kochany Przyjacielu! Z kawą na*
„ *nas nieczekay. Major, ofiara* KABAŁY, *musi*
„ *wprzód zginąć. Szatan w ludzkiey postaci*
„ *zimny* WURM, *który nieraz przed końmi cwałuje*
„ *pieszo, jak do ciebie jedziemy, należy do bandy.*
„ *O w pół do ósmey wieczorem, trucizna zacznie*
„ *działać, o dziewiątey włożemy trupa do powozu.*
„ *Ty już wiész co z nim zrobić. Pamiętay tylko o*
„ SZAMPANIE, *ażeby stary* MILLER *zapomnieć*
„ *mógł aby na chwilę, swego zamordowanego*
„ *dziécięcia. Jeżeli* KALB *przeżyje trwogę,*
„ *którą mu sprawi pistolet przymierzony do*
„ *piersi, to i on przybędzie z nami. Jutro*
„ *rano strzelamy u ciebie do tarczy. Byway*
„ *zdrow;— czekay nas chociażby do północy.*
„ *Twóy życzliwy.*„— Względem *Kabały*, *Szatana i Szampana*, niemogli się chłopi zrozumieć. Niektórzy ten wyraz *Kabała*, brali za *Kanalią* i Szampana za *Kampanią* lub *Kompanią*; niektórym *Szatan* był trochę nie po myśli,

bo z nim, nieradziby na złe zakrawać; atoli na ostatku zgodzili się na jedno, że to są tylko wyrazy do słownika łotrów należące, których pomiędzy sobą, knując zbrodnicze zamachy, używają. Jakkolwiek bądź, pokazało się jawnie, czém pachnął ten Jegomość Pan Merbach z całą swoją czeredą rzezimieszków; że to była ukryta banda rabusiów, która zamordowanych i zrabowanych w mieście, do Merbacha nocą zwoziła ażeby ich tam w piwnicach zakopywać, a potém odprawiać pijackie stypy. Tu nastąpiła rada, jakichby użyć środków na podchwycenie tych ptaszków i zawstydzenie ospałości policyi stołeczney, która ich mając pod bokiem, o niczém dotąd niewiedziała. Po wielu wnioskach za, i przeciw, wydał sołtys Protazy następujące rozporządzenie: "Kmotr Bartłomiey na czele „ dwunastu nayodważnieyszych kmieci, uzbro„ jonych w motyki, widły i drągi, o dzie„ wiątey godzinie wieczorem, opanuje mały „ wąwoz w krzewinie, przez który ci truci-

„ zno mordercy do wsi W... przyjeżdżać ma-
„ ją. Panowie grenadyerowie muszą mieć przy
„ sobie postronki dla powiązania wszyst-
„ kich członków tak czynnych jako i hono-
„ rowych tey bandy i przyprowadzenia ich
„ do urzędu. W tymże czasie dwudziestu in-
„ nych, pod dowództwem kowala Bonifacego,
„ mają osadzić dom Merbacha, i samego zaraz
„ okuć w dyby i przeprowadzić do kozy.—
„ Część tego oddziału jako korpus obserwa-
„ cyjny, zostanie wpałacyku i zabezpieczy
„ się względem panien; z których ścisle wy-
„ prowadzenie *indagacyi* i *konfrontacya* z ban-
„ dą, mogą bydź potrzebne sądowi.„ — Sam Protazy kazał sobie osiodłać starego rosynanta od pługu, nazywanego pospolicie czarnym huzarem i pierwszym *paradyérem* we wsi; którego dosiadłszy z płota, ruszył tęgim galopem do miasta dla doniesienia o tém *Justic Amtmanowi* swéy gminy i odebrania dalszych rozkazów.— Wiadomy list zabrał z sobą.— Słońce było ku zachodowi.— Jak na złość

dwoje kochanków, chcąc użyć przyjemności wiosenney pory, siedzieli pod klumbem akacyjowym przy samėy drodze, którędy sołtys miał przejeżdżać. Panienka igrając z ponsową parasolką, obracała ją w młynek, naprzeciw dojeżdżającego sołtysa. Czarny huzar mniemając, że cały szwadron hułanów nieprzyjacielskich wysuwa się do niego z krzaków, przestraszony skręcił raptownie na bok, i tak piekielnego dał susa, że Wielki Jnkwizytór razem z kulbaką, która mu się w drodze odpięła, zleciał w rów ciérniem i ostem zarosły, na dwa łokcie głęboki, gdy tymczasem niewinni kochankowie unikając kłutni z ciemnym wieśniakiem, uciekli w jednę stronę, a paradyjer wolny jak Zefir, zawrócił podwoynym galopem do ukochaney wioski. — Gubernator Protazy upadł na brzuch. Zaledwie mógł oddychać, tak się zaląkł. Przeklinał swą dostoyność, bezbożnego Merbacha, zimnego szatana Wurma, zwłoki starego Majora, i zaledwie potrafił wygramolić się z kolców, które mi zo-

stał jak zając naszpikowany. Kaftan jego cycowy, jako dowód poświęcenia się dla dobra gminy został podarty w kawałki; a tróygraniasty kapelusz, starożytne godło urzędu, zniknął z powierzchni ziemskiey. Tak podrapany, obszarpany, z gołą głową, do którey się tłum szyszek z ostu poprzyczepiał, pewny że jego czarny huzar nigdzie niepowędruje jak do domu, a będąc już sam blisko miasta: postanowił zagniewany Protazy, chcąc niechcąc, resztę urzędowey podróży odprawić pieszo; a pokrzepiwszy się *kurfirsztowskiemi* kroplami w naypierwszym sklepiku; złożył przed *Justic-Amtmanem* odkryte straszne *crimen attentatum* z wszelkimi do podziwienia szczegółami.

List, jako ważny świadek zamachu, mimo takiey przygody z parosolką, uratowany został.—*Justic-Amtman* lubiący zawsze korzystać z kłutni domowych swey gminy, posłał natychmiast po fizyka obwodowego i chirurga, dla zrobienia *obdukcyi*; wziął paczkę piór, butelkę atramentu i pół ryzy papieru, dla spisania *Vi-*

sum repertum; i mimo twardego zmroku, ruszył w drogę, kazawszy Panu Sołtysowi siąść na tyle pojazdu, rozumie się w koszu za bryką. — Protazy ktory jak żył na świecie i prezydował w gminie, jeszcze niedoznał takiego lekceważenia swey osoby, czarne i białe płatki miał ciągle przed oczyma; cała okolica obracała się jak parasolka w jego seledynowych źrenicach; słowem, tak sobie był nieprzytomny od kwaśnych sosów, jak biedny chrabąszcz na szpilce.— Zimny pot, nigdy jeszcze niedoświadczony, wystąpił mu ze zmartwienia na czoło: już myślał, że tu koniec życia jego nastąpi.— Zostawmy go w tém opłakaném położeniu, a wroćmy się do wielkiey *awangardy*, czatującey w wąwozie. Czarny huzar posiliwszy się do sytu na cudzey łące, przebywając już pòźno to ważne stanowisko, z daleka został usłyszany; cierpiąc bowiem od dawna chrypkę, wydawał tak przeraźliwe tony, że roztawione *widety* cofnęły się natychmiast do głównego korpusu, a ten mniemając, że pewnie òw zimny szatan, wspomniany w liście, według swego zwyczaju

poprzedza piekielną bandę, także się już zabierał do ucieczki. Lecz tą razą nieustraszony Bartłomiéy, lubo z wielką trudnością, potrafił przecież ocalić honor swego dowództwa, i krótką ale dobitną *proklamacyą*, wstrzymać swoich grenadyerów od nikczemnego popłochu.— W tym momencie nadjeżdża banda morderców przez truciznę,- lecz bohatyrowie wąwozu, osłabieni już na męstwie przez czarnego huzara, niemieli serca do walki. Bartłomiéy wprawdzie zakommenderował do attaku; czterech zbroynych miało pochwycić za konie; dwóch na woźnicę uderzyć, a innych sześciu mieli opanować powòz. Niestety! żaden nieruszył z mieysca, żaden niedał znaku o sobie; pojazd przejechał spokoynie, i dopiéro naowczas, kiedy już był dobrze o podal, marszałek Bartłomiey mając swóy korpus na czele, rzucił się za nim w pogóń.— Teraz przecie mężtwo, odezwało się w sercach ośmiclonych żołnierzy; wszyscy biegli do szturmu, krzycząc jak opętani. Konie u pojazdu zaczęły się lękać i skręcać

bok; jadący w rozumieniu, że są napodnięci od zbóycow, postanowili się bronić: jeden z nich porwał fuzyą i wystrzelił. Cały tuzin walecznych, usłyszał gwizdnięcie kuli ponad uszami, i gdyby była nieszczęściem ugodziła pierwszego, możeby się wszystkim dostało; bo mimo ożywioney odwagi, jeden za drugiego się chował, i cały batalijon, sznurem jak dzikie gęsi, gonił nieprzyiaciela; lecz że marszałek był naturalnie ostatni, jemu więc tylko troygraniasty kapelusz strąciła z głowy. — Strach zazwyczay ma wielkie oczy! że częstokroć z kaszkieta głowę, a z głowy robi kaszkiet. Omyłka ta właśnie tu się zdarzyła. Marszałek zamiast krzyknąć: Szukaycie mego hełmu! zawołał przeraźliwie: "*Szukaycie mojéy głowy!*„ — Słowa te były hasłem do ucieczki. Nieczekając kommendy, cały korpus dał prawo w tył, a tak z porządku mając znowu na czele Pana Marszałka, uciekał z daleko większą natarczywością w krzaki, niżeli w przody zbóyców gonił. — Tu nowy pojazd słyszeć się dał o podal. Sołtys jak zwy-

kle wszyscy naczelnie działający, zostawił był samemu sobie, wykonanie głównego planu, a zatym niepowiedział nikomu, że z sobą sprawiedliwość karzącą przedsięwziął z miasta sprowadzić. Naturalném było mniemaniem chłopów, że ten wóz należał także do rabusiów, a Bartłomiéy użył natychmiast całey mocy swojey wymowy, aby dał zrozumieć rycerzem: że byle tylko śmiało i nagle uderzyli na konie, na woźnicę i powóz, i nie dali czasu nieprzyjacielowi do namysłu; naówczas przestraszony niepotrafi dać naymnieyszego odporu, i musi się poddać na łaskę lub niełaskę zwycięzców. Wysłuchano, wyrozumiano, dano słowo, a co naywiększa! dotrzymano tą razą. Z piekielnym wrzaskiem i niesłychaną śmiałością wypada wiara z pomiędzy krzaków do wąwozu, i pod zasłoną ciemney nocy, uderza na dostoyne *Justitium!...* W jedney minucie krępuje postronkami fizyka i chirurga, którzy broniąc się instrumentami, cudów waleczności dokazywali; — zadaje kilkanaście kułaków zagłuszonemu, i

z pierwszego przestrachu mowy pozbawionemu sołtysowi, niebez równego ubliżenia zacney osobie *Justic-Amtmana*, który usnąwszy na piękne, w myślach o ważności swey delegacyi i kosztach prawnych, mniemał teraz że z całą procedurą na tam ten świat pojedzie Dopiero gdy Proatzy, przyszedł cokolwiek do siebie, i zaczął gromić zaślepienie Marszałka; naówczas tamten postrzegł swoją omyłkę i zreyterował się w krzaki z niemałą stratą w ranionych od lancetów i bicza,— ostatni bowiem w ręku śmiałego woźnicy, naylepszą artylleryą zastąpił. Odetchnąwszy ze strachu mądry Protazy, miał z kosza krótką mowę do posłańców sprawiedliwości, w którey witając ich nayprzód na granicy swey gminy, dał im oraz do zrozumienia: że ta napaść, musiała bydź skutkiem zasadzki zboyców z bandy Merbacha,— i wraz *Colegium medicum* uwolnił z więzów. Niechciał zaś wydać się nierozsądnie, z poczynionych przez siebie rozporządzeń które tę burzę sprawiły, tym bardziey, gdy postrzegł że *Justic Amtman*

gniéwał się bardzo w ciągu dalszey podroży na odniesiony paragraf przez sam środek kaczkowatego nosa, i niezmierny szum w uszach od zadanych kułaków. Marszałek Bartłomiey, lubo się z razu mocno zmieszał swoim przeklętym attakiem, musiał nareszcie śmiać się z całym korpusem, z tak opacznego zdarzenia; zwłaszcza że w jego mniemaniu Pan *Justic Amtman* i sołtys, dawno już zasłużyli na podobną frycówkę.— Z tèm wszystkiém przezorny Hetman, uznał za rzecz słuszną ròwnie jak sołtys, zamilczeć o tem, i wytchnąwszy z trudów niebezpieczney wyprawy, pomaszerował w naywiększym porządku do wsi, dla dowiedzenia się o obrotach główney armii pod buławą kowala Bonifacego, przeciwko Merbachowi i bandzie zbóyców przybyłey z otrutym majorem. Marszałek Bonifacy sprawił się mężniey i przezorniey; nietylko bowiem Merbacha i przybyłą bandę morderczą z wszystkiemi bagażami zabrał do niewoli; lecz nawet i amazonki z przyzwoitym

dla płci słabey uszanowaniem, w pokoju otoczonym przez oddział swego woyska, opasał.—

Nazajutrz, *Justic Amtman*, zjadłszy dobre śniadanie kosztem gminy, na rachunek strony przegrywającey, i kazawszy sobie opatrzyć nos przez chirurga; zasiadł do inkwizycyi, przy otwartych drzwiach izby sądowey, i powołał nayprzód herszta. Naprożno Merbach tak sromotnie skrzywdzony, chciał wnosić swoje skargi przeciw gwałtowney napaści: "Tu szczérze tłumaczyć się a nie oskarżać, jest nayprzòd obowiązkiem WPana, Szanowny i zacny Mężu! (odezwał się *Justic-Amtman* z niejakiém uszanowaniem do *inkulpata*, mając wzgląd na ogromny jego majątek; a ludzie tego rodzaju szczegòlniey od delegowanych za dyetami, wysoki odbierają szacunek;) "Tu należy *ante omnia* wytłumaczyć się Waszcy Excelencyi..„—(przydał znów Justic-Amtmann "*Excellencya*„ przypomniawszy sobie w ten moment, że mówi do byłego armii Liweranta...) oczyścić się, a przynaymniey brakiem dowo-

dów prawnych obronić (*) od zarzutów: o podeyrzane zebranie majątku, o śmierć offi- cera na kwaterze, powracającego z kampanii z pełnym kufrem złota, — a mianowicie wzglę- dem kufra ze złotem, gdzie się podział? — Jtem, o związki potajemne z bandą rozboyników, o morderstwa, rabunki, oszustwa, tajemne za- kopywanie trupów: na ostatek, o nasadzenie zbóyców w wąwozie, na drodze do wsi W.... podczas ostatniey nocy; którzy znieważywszy urząd sprawiedliwości kułakami, i szturkań- cami, i zadawszy ich: I^{mo} mnie Justic-Amt- manowi, wedle obdukcyi, w kark 7. za ucho

---

(*) *Niemasz dotąd pięknieyszego zabytku barbarzyństwa w kodexach kryminalnych nad tę starożytną zasadę:* "Dla braku dowodow! *jest to bowiem wyborny spo- sób zabijania, i przytém bardzo tani, bo się można obeyść bez kata. Niektórzy mówią, że tak chce prawo; jakby prawo było kokietką, a sędzia starym kochankiem.*

prawe 4. w lewy bok 7. w ciemię 1. w nos 2. i t. d. — II^{do} Sołtysowi Protazemu w kark 21.— III. Fizykowi: w brzuch 5. w plecy *plus minus* 19. po bokach *plus minus* po 30.— IV. Chirurgowi po całem ciele *in durchschnit* 100, nieustraszoną tylko odwagą naszą odparci i do ucieczki przymuszeni zostali. Podobnież usprawiedliwić się należy z zarzutów dodatkowych: o niebywanie zupełne na kazaniach niedzielnych, noszenie kapelusza na oczy, i widoczną ze wszech miar niespokoyność sumienia?„— Majątek mòy odpowie Merbach z powagą, szczęśliwém powodzeniem na liweranctwie, zebrałem pod czas ostatnich wojen; wspomniony officer, był moim bratem rodzonym, umarł w ubòstwie i zostawił mi w puściznie cztery còrki, zostające dziś przy mnie i moim kosztem wychowane, które za kilka dni odbiorą ślubne błogosławieństwo, z swoimi narzeczonymi; — o żadney bandzie zbóyców ani morderstwach niewiem, bo ja żyję tylko z ludzmi honoru, i znakomitymi z talentów; co się tycze przygody WPana, ta jak

się dorozumiewam, jest skutkiem światłych urządzeń policyjnych tuteyszey gminy, które i mnie w moim domu równie dotknęły. Jeżeli na kazaniu niebywam, to pochodzi jedynie ztąd, iż pod ten czas zostaję w domu, a moje synowice wyprawiam do kościoła; kapelusz noszę na oczy dla tego, żebym mniey patrzał na głupich... i radbym go w tey chwili mieć na głowie....— życzę zaś całemu światu równey spokoyności summienia, jaką mię Bóg obdarza. Skończywszy moją obronę, lubo dla miłey spokoyności, niechciałem się dotąd użalać na grubijaństwa i liczne szkody które mi chłopi tuteyszey wsi wyrządzają; atoli zaczepiony, wnoszę nawzajem skargę i o dochodzenie jak nayściśleysze Pana Justic-Amtmana upraszam.„— Justic-Amtman ucieszył się nowym processem i zaraz na osobnym arkuszu zapisał: "*Merbach przeciwko gminie W... o grubijaństwa i szkody;*— poczém kazał mu odeyść a przyprowadzić bandę. Lecz jakież było sędziego podziwienie, gdy uyrzał między

niemi, Radzcę kameralnego-F..., Dyrektora dróg i mostów H...... i Szambelana Z... oraz czterech nayslawnieyszych artystów dramatycznych, ludzi zacnych i powszechnie znanych w stolicy? Wszyscy siedmiu tak niespodzianie napastnięci przez marszałka Bonifacego na czele straszliwey legii, a mianowicie szambelan, który każdemu przylepił dobrą pamiątkę, bronili się z początku jak lwy; i dopiero ściśnięci tłumem przybywających coraz nowych batalijonów, poddali się na łaskę. Pomimo zaś zdjętych sobie dopiero trykotów konopianych z rąk i nóg, w jakich całą noc przepędzili: z uśmiechającemi twarzami stanęli przed obliczem wielkiego sądu i z drwiącą miną prosili o miłosierdzie.— Ośmielony ich udaną pokorą Justic-Amtman, zamierzył tu, wbrew należnym względom dla urzędnikow cywilnych i artystow, utrzymać swą powagę, i poprawiwszy się w krześle, okazał im list tajemniczy, i uczynił następujące zapytania:

1. Kto jest z uwięzionych autorem tego pisma?
2. Kto jest majorem który padł ofiarą kabały?
3. Który z nich nazywa się szatanem *Wurm?*
4. Kto i kiedy został otruty?
5. W którey aptece trucizna była kupiona?
6. Gdzie się znayduje trup, który tu miał bydź przywieziony?
7. Czy jest między obwinionemi stary *Miller*, któremu wybić chciano z pamięci zamordowane jego dziécie?
9. Co ma znaczyć zastraszenie jakiegoś *Kalba* nabitym pistoletem?

List ten, dodał światły sędzia, był powodem wczorayszego poymania i uwięzienia szanownych inkwizytòw, którym się surowie zaleca i przykazuje, aby próżnych wybiegòw nieużywali, gdyż tak ważny *autentyk*, jawnie przeciwko nim świadczy, równie jak broń, i uporczywa ich obrona przeciwko sile zbroyney z ramienia sprawiedliwości zesłaney; które aż nadto przekonywają o popełnioney lub popełnić się mianey zbrodni morderstwa. —

Wszyscy *inkulpaci* głośnym śmiechem przerwali nakoniec poważną mówę Jnkwizytora, a Radzca Kameralny F... tak ułatwił obronę. "Broń, Mości Justic-Amtmanie, dla tego „ mamy z sobą, ponieważ stosownie do brzmie„ nia listu, postanowiliśmy dzisiay strzelać do tar„ czy u naszego przyjaciela Merbacha. Broniliś„ my się zaś dla tego przeciw okopconemu tu„ teyszey wsi Wulkanowi, (tak nazwał mar„ szałka Bonifacego) ponieważ niemogliśmy się „ spodziewać, ażeby nas w imieniu sprawie„ dliwości, bauda pijanych chłopów napasto„ wała. Nakoniec, co się tyczy osnowy listu, „ składam wysokiemu trybunałowi wczoray„ szy afisz z teatru narodowego w stolicy, gdzie „ była grana trajedya pod napisem: *Miłość i Kabała.* (*) Ten Pan, grał rolę Majora, ten „ sekretarza *Wurma*, tamten muzyka *Millera*, „ a ów czwarty w zielonym surducie, *Kalba*.

(*) *Sztukę tę przypomną sobie Czytelnicy, niedawno widzianą w Krakowie, nazwaną w polskim:* Miłość i Jntryga, z *Szyllera*.

„ Więcey zapewne tak swiatłemu sędziemu nie-
„ potrzeba, do objaśnienia go względem okro-
„ pnego morderstwa przez truciznę i tylu in-
„ nych urojonych zamachów zbrodni. Pan
„ Merbach jest zacny obywatel, od samego mo-
„ narchy z poczciwości i rzetelności swey szaco-
„ wany.„—

Justic-Amtman po takiém rzeczy wyłuszczeniu, poznał własne frycostwo i złajał całą gminę że go zrobiła wspólnikiem swey ciemnoty i szalonéy podyrzliwości; kazał jey zaraz publicznie przeprosić excellencyą Merbacha i wszystkich *inkulpatów*. Merbach naśmiawszy się do woli z obłąkanych wieśniaków, którzy tą donkiszocką wyprawą dosyć już ukarani zostali; darował im swoje urazy i na zagojenie ran odniesionych w rozmaitych szarmiclach, kazał im wystawić beczkę z kurfirsztowskiemi kroplami; delegacyą zaś sądowniczą, niemniey uposażoną w kułaki i paragrafy, obdarzył hoyném wynagrodzeniem kosztów prawnych;— a potem z bandą rozbóyników powrócił do pałacu, gdzie go już uwolnione synowiczki z śniadaniem oczekiwały, śmiejąc się do rozpuku z tey zabawney przygody.

Tegoż dnia, po wypróżnieniu kropel, wyszedł z kancellaryi sołtysa uniwersał, nakazujący odtąd gminie, zdeymować czapki przed Merbachem i niewtrącać się więcey do jego interessów.—

(z Dzieł Klaurena.)

HOŁD CIENIOM ALEXANDRA I.

CESARZA WSZECH ROSSYI, KRÓLA POLSKIEGO, W DZIEŃ ŻAŁOBNEGO OBCHODU.

Zniknął z pośród nas Człowiek i Monarcha prawy,
Co nad miłość swych ludów niechciał inney sławy!
Ty co dzieła śmiertelnych ważysz na twey szali,
Ty Klio! powiedz światu kogośmy płakali;
Ty zaświadcz, jak dni swoich, jak swey mocy użył,
Ten, co półświatem władał i ludzkości służył!..
Powołay wszystkie ludy których trzymał losy; —
Powszechność schlebniczemi niesplami się głosy,
Ona ci skreśli wierny obraz czynów Jego! —
Kodrus za lud swóy zginął, a On żył dla swego;
Tamten po sobie naród w sieroctwie zostawił,
Ten pogardził rozpaczą i męstwem go zbawił!
Jleż bezsennych nocy na trudach przepędził,
Aby ludom kochanym ciężarów oszczędził;
Kochanek ich i Oycice gdziekolwiek uyrzany,
Pociechy i nadzieje wzniecał na przemiany!
Nieraz żołnierz widokiem śmierci zatrwożony,
Uyrzał Go - i zwycięztwo wydarł z rąk Bellony! —
O któż zapomni ową Alexandra chwilę
Kiedy pół Europy w zjednoczoney sile
Pożar woyny zaniosło pod mury Kremlina!
Bez strażnym Go spotkała żałosna drużyna:
„Ty jesteś smutny, w trosce o los twoich dzieci!
„Oycze! niech raz ostatni to słońce nam świeci,
„Jeśli na twe skinienie, w oyczyzny potrzebie,

„ Niepóydziem wszyscy zginąć, za nią i za ciebie.!
„ W łzach naszych widzisz przyszłey pomyślności gwiazdy; —
Łzami im odpowiedział— i pierzchły najazdy.—

O Polsko! twey żałości niema granic siła;
Gdyby on cię niekochał, jużbyś ty nieżyła.
Nigdy, nigdy niezgaśnie w pamięci Polaków,
Ta chwila, gdy Go w murach uyrzał swoich Kraków!
Tysiące rozrzewnionych serc Go powitało,
Tysiące w oczach Jego nadziei szukało;
Obłąkane sieroty przytulił do łona,
Dał słowo— i oyczyzna znowu im wrócona!
Boże ty znasz naylepiey szczére nasze tchnienia,
Tobie je zostawiamy do wytłumaczenia;
Tyś nam nieraz pogroził, lecz na żal nasz tkliwy
Rozlałeś znowu szczęście na lud nieszczęśliwy.—

Dwa narody z serc wdzięcznych naylepiey Ci znane,
Niesiem dziś przed twóy ołtarz świeżą jeszcze ranę;
Płaczemy straty Oyca!— po tak drogiey stracie,
Ty Go znowu nam wracasz w lubym Jego Bracie!—
Po zeyściu Alexandra wspomnienia zostały,
Wspomnienia te zaświadczą że nieumarł cały!.—

KONIEC TOMIKU I.